

Na co dzień nikt z nas raczej nie myśli o niepełnosprawności, jeśli nie ma w jego środowisku nikogo niepełnosprawnego. Wiemy, że takie osoby istnieją, jesteśmy wobec nich uprzejmi. Jednak, gdy przychodzi co do czego, ile tak naprawdę o nich wiemy?

Zawsze uważałam siebie za osobę tolerancyjną – zapewne większość ludzi tak właśnie o sobie myśli. Kiedy jednak to ja czekałam w poczekalni urzędu, by złożyć wniosek o orzeczenie o stopniu niepełnosprawności, ciągle biłam się z myślami. Przecież nic nie było ze mną „nie tak”, może miałam problemy, ale czy aż takie? Jeśli dostanę orzeczenie, czy to oznacza, że jestem gorsza, że nie jestem już tak wartościowa jak ludzie pełnosprawni? Przyjrzałam się swoim myślom, odkryłam z przerażeniem, że w mojej głowie jest więcej stereotypów i uprzedzeń niż tolerancji. Dopóki temat niepełnosprawności mnie nie dotyczył, byłam „tolerancyjna”. Kiedy zaczął mnie dotyczyć, na światło dzienne wyszły myśli, do których wolałabym się nie przyznawać.

Ja i niepełnosprawność?

Przez cały tydzień od posiedzenia komisji czekałam z niecierpliwością na wyniki. Czy komisja przyzna mi stopień niepełnosprawności, czy raczej uzna, że „nie jest ze mną tak źle”? Szłam do urzędu, by odebrać orzeczenie cała w nerwach. W końcu otworzyłam kopertę i zobaczyłam słowa, na które czekałam – przyznano mi lekki stopień niepełnosprawności. Myślałam, że oznaczało to dla mnie tyle, że mogę złożyć wniosek o stypendium dla osób niepełnosprawnych i dzięki temu opłacać sobie leki. Dopiero później zaczęłam zadawać sobie pytanie, co dla mnie oznacza bycie osobą niepełnosprawną.

Z pewnością nigdy nie spodziewałam się, że kiedykolwiek niepełnosprawność będzie mnie dotyczyć. W końcu fizycznie jestem sprawna, nie jeżdżę na wózku inwalidzkim, a każda osoba, której powiedziałam o orzeczeniu była zdziwiona i stwierdzała, że „nie wyglądam” na niepełnosprawną. Wcześniej walczyłam o orzeczenie, a teraz czekała mnie walka z samą sobą.

Gorsza

Spółeczeństwo uczy nas, że nasza wartość wynika z tego, ile jesteśmy w stanie

Cyrk bez kółek



Nie każda niepełnosprawność jest widoczna

zrobić. Nie umiesz się skupić na nauce, masz problemy z przyswajaniem materiału? Jesteś gorszy. Masz problemy z podstawowymi, codziennymi czynnościami, jak mycie się albo zrobienie zakupów? Weź się w garść, inni nie mają takich problemów. Świadomie czy nie, prowadzi nas to nieuchronnie w stronę ableizmu, czyli dyskryminacji osób z niepełnosprawnościami. Bowiem, aby przyznać komuś lekki stopień niepełnosprawności, musi być on osobą o naruszonej sprawności organizmu, która w znacznym stopniu obniża jej zdolność do wykonywania pracy. Im bardziej jest naruszona sprawność organizmu, tym wyższy stopień niepełnosprawności się otrzymuje.

Na swoim przykładzie mogę powiedzieć, że często mam trudności z czynnościami, które innym nie sprawiają problemów lub po prostu nie jestem w stanie zrobić tego, co moi rówieśnicy. Czy to oznacza, że jestem gorsza? Na początku tak o sobie myślałam. Prowadziło to mój umysł w ciemne miejsca, do których nie chciałam wracać. Codziennie musiałam walczyć ze swoimi uprzedzeniami i pamiętać, że moja wartość nie zależy od tego, ile jestem w stanie zrobić. A może jestem w stanie zrobić naprawdę dużo, nawet więcej niż inni, jeśli spojrzę ponad to, co sprawia mi problemy.

Niewidoczna

Zauważyłam ostatnio w komunikacji miejskiej reklamę o zachowaniu wobec osób z niepełnosprawnością, w której było zaznaczone, że nie każda niepełnosprawność jest „widoczna”. Kiedy ktoś ma rękę w gipsie, możemy się domyślić, że pewnie ją złamał. Kiedy jednak nie ma żadnych widocznych oznak niepełnosprawności, łatwo jest zapomnieć, że ta osoba wciąż może być niepełnosprawna. Większość ludzi, którym powiedziałam o moim orzeczeniu była ogromnie zdziwiona, bo „nie wyglądam” na osobę niepełnosprawną. A jak powinna taka osoba wyglądać? Czy musi poruszać się na wózku lub o kulach, mieć psa przewodnika albo białą laskę? Wielu niepełnosprawności nie widać gołym okiem, tak jak nie można zobaczyć chociażby zaburzeń psychicznych. Warto o tym pamiętać, kiedy ktoś, kto „nie wygląda”, okaże się niepełnosprawnym.

Ty (nie) jesteś problemem

Zanim sama otrzymałam orzeczenie o niepełnosprawności, dowiedziałam się o dwóch różnych modelach niepełnosprawności. Według medycznego modelu niepełnosprawność jest wadą tkwiącą w człowieku, odchyleniem od zdrowotnej normy. Celem zaś jest usunięcie lub chociaż ograniczenie danej wady, zaś osoby niepełnosprawne są zmuszone do

dostosowania się do osób pełnosprawnych. Współcześnie w społeczeństwie dalej dominuje ten model. Problem jest z osobami niepełnosprawnymi i to one powinny zrobić wszystko, by możliwe „wyzdrowieć”.

Jednak coraz bardziej zyskuje na popularności społeczny model, który, według Banku Światowego, „zwraca uwagę na rolę społeczeństwa w zapewnianiu równości wszystkim członkom, bez postrzegania osób niepełnosprawnych jako ludzi ze «specjalnymi potrzebami»” oraz w którym „istotne jest znoszenie barier, zarówno psychologicznych, jak i fizycznych”. W tym modelu to społeczeństwo i jego struktury stają się odpowiedzialne za zapewnienie jednostce dostępu do wszelkiego rodzaju usług, od edukacji po opiekę zdrowotną. Ponadto osoby niepełnosprawne uznawane są za aktywnych uczestników społeczeństwa, które mają mu dużo do zaoferowania, a nie są jedynie problemami, które trzeba rozwiązać. Społeczny model niepełnosprawności wskazuje na podmiotowość osób niepełnosprawnych i ich wartość bez względu na ograniczenia. Trudno odnaleźć się w społeczeństwie, w którym to my jesteśmy problemem. Pytanie brzmi – czy problem jest w nas czy w postrzeganiu nas przez świat?

Julia KWAŚNIEWSKA
julkwa1@st.amu.edu.pl

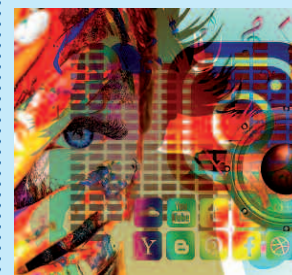


Trzy dekady wolności wobec miesiąca kobiecości s. 2

Polecamy



Spółeczeństwo (nie do końca) nieśmiertelne s. 3



Teraz już naprawdę będzie prawdziwie s. 6



Powróciło ściganie w królowej motorsportu s. 8

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy! Powroty na uczelnię nie należą do najłatwiejszych, jednak mamy nadzieję, że po przerwie udało się Wam już w pełni wdrożyć w studencką rzeczywistość. Przed nami ten przyjemniejszy, cieplejszy i bardziej słoneczny semestr, który dużo silniej sprzyja studenckim spotkaniom i aktywnościom.

W marcu, miesiącu kobiet, Karolina poruszyła temat kobiecych praw i potrzeb, niezależnie od przypisywanych społecznie ról. Nasi redaktorzy przygotowali recenzje na temat nowości ze świata literatury, filmu, ale również gier i teatru. Kinga postanowiła zadać pytanie: czy czytamy o muzyce równie często, jak jej słuchamy, z kolei Daria przyjrzała się bliżej fenomenowi aplikacji BeReal. W sekcji sportowej przeczytacie o norweskich sukcesach w sportach zimowych, a także o marcowych zmaganiach w Formule 1. Życzymy przyjemnej lektury, a zainteresowanych tematami społecznymi, kulturalnymi i sportowymi zachęcamy również do zaglądania na naszą stronę internetową.



Redaktor miesiąca



Karolina Hałabiś

Hej! Jestem Karolina i w BUC-u działam od listopada, głównie w dziale Lifestyle. Uwielbiam śledzić scenę muzyki elektronicznej oraz poznawać historie brytyjskich monarchów, a dzień bez dobrej kawy i spaceru uważam za stracony. Chętnie powymieniam się z wami rekomendacjami fajnych piosenek!

Marzec jest miesiącem Kobiet – przedstawicielek płci biologicznej, która w społecznej świadomości nierozdzielnie łączona jest z archetypami matki, miłości, domostwa i troski nad rodziną. Idąc jednak na przekór, można by zadać butne, ale i potrzebne pytanie. Czy kobieta nie jest przede wszystkim istotą ludzką, a dopiero w drugiej kolejności pełni rolę matki lub opiekunki domu? Od trzydziestu lat żyjemy w wolnym kraju, któremu powinny przyświecać wartości równouprawnień i reform nie tylko prawnych, ale i świadomości. Zatem: jak wyglądają prawa kobiet na kanwie trzech dekad polskiej wolności?

Aby zrozumieć genezę święta, którym jest Dzień Kobiet, a Dzień Praw Kobiet (!), warto zajrzeć do merytorycznie obfitej notatki znajdującej się na stronie UNIC Warsaw. Pozwala ona spojrzeć na ten dzień nie przez pryzmat kwiatów czy tradycji оголошеноj z doniosłej wartości równościowej i normatywnej, a przez pryzmat jego historycznej ciągłości i wartości.

Pod historycznym szkiełkiem

Wszystko zaczęło się już ponad wiek temu w Ameryce. Przenieśmy się na chwilę do czasu, gdy rozwój technologiczny gwałtownie nabierał tempa, a kapitalizm rósł w siłę, poczynając wielkomięjskich woni Nowego Jorku w 1909 roku. 28 lutego owego roku odbyły się pierwsze obchody święta praw kobiet, które to miało upamiętnić zagorzałe strajki pracowniczek przemysłu odzieżowego. W roku 1908 walczyły one o swoje prawa do godnego traktowania oraz odpowiednich warunków pracy. W następnych latach pomysł ten został spopularyzowany – w 1910 roku przechwyciła go Socjalistyczna Międzynarodówka, która w głosowaniu uznała to święto za ogólnie obowiązujące, a trzy kobiety przyjęto do fińskiego parlamentu. Rok później Dzień Kobiet został uchwalony przez kraje niemieckojęzyczne. W żadnym z tych przypadków nie ustalono jeszcze konkretnej daty święta.

Jak zatem doszło do tego, że akurat 8 marca niekończące się kolejki do kwiatarni stają się stałym zjawiskiem? Kobięca czułość i wrażliwość wobec przemocy i krzywdy grają tu pierwsze skrzypce – wszystko zaczęło się od masowych, kobiecych strajków przeciwko wojnie oraz jej brutalności, mających miejsce w Rosji, w trakcie Dnia Kobiet. Ówczesni Rosjanie posiadali inny tryb liczenia czasu – kalendarz gregoriański, według którego Dzień Kobiet świętowany był 8 marca. Bojowa wrażliwość kobiet, które oddały swój dzień, aby wykazać się od-

Trzy dekady wolności wobec miesiąca kobiecości



Każdej osobie identyfikującej się jako kobieta, życzymy wszystkiego dobrego, nie tylko na ten miesiąc, a nieustannie; aby walki o własne prawa nie były konieczne

wagę, swoim głosem wobec dziejów cywilizacji i prawem do sprzeciwu, została upamiętniona i upamiętniana jest do dziś. Niestety, rzadko mówi się o podniosłej historii tego wyjątkowego dnia.

„Girlbossing” w szczelinach biznesu

Dzięki siostrzanym walkom kobiet sprzed lat, nasza rzeczywistość kipi wolnością i nieustannym, prężnym dążeniem ku balansowaniu społecznego status quo. Obecnie kobieca przedsiębiorczość jest czymś powszechnym, a nawet na tyle specyficznym i charakterystycznym, że uzyskała szczególny odłam, będący przedmiotem dowcipnego określenia „girlbossingu”. Można się nawet zastanawiać, co o tym sądzi zza grobu, chociażby Virginia Woolf...

8 marca tego roku „Gazeta Prawna” wydała obszerny dodatek z artykułami dotyczącymi przedmiotowego zagadnienia. Wskazuje się, że normą dla przedsiębiorczości kobiecej jest jej rozwój na płaszczyźnie małych przedsiębiorstw, często indywidualnych. Rządziej dostrzec można kobiety na szczytach hierarchii wielkich korporacji czy najbardziej wpływowych firm i biznesów Polski. Kobiety, które znajdują się na szczytowych pozycjach biznesu, wskazują, że stwarza to problemy związane z przymusem łączenia zbyt wielu obowiązków naraz. Nie jest łatwo łączyć wiele różnorodnych ról społecznych (matka, żona, pracowniczka, osoba) naraz, nie tracąc przy tym głowy. Jak wskazują statystyki, realizacja „domowych”, kobiecych ról społecznych zajmuje przeciętnej Polce od 3 do 6 godzin. Z 8 godzinami pracy daje to... od 11 do 14 godzin.

Jak wyznaczyć ścieżki inkluzywności?

Tym, co zdecydowanie należy podkreślać, jest fakt, iż kobiety zasługują na uwzględnianie zarówno ich biologicznych, jak i psychicznych potrzeb wobec siatki godzin i możliwego czasu urlopowego. Kobieta ma zupełnie inny sposób funkcjonowania – często ogranicza ją problematycznie bolesny okres men-

strucji, co nie jest rozumiane przez prezesów, dyrektorów, pracodawców. Nie ma zrozumienia i poszanowania dla zespolenia pracy z macierzyństwem i dbałością o dom. Kobieta ciągle musi wybierać, dewaluować własne potrzeby i wartości tytułem dostosowania się do patriarchalnej rzeczywistości. Szyć maski na miarę niesprawiedliwych realiów.

W pięknym spektaklu naszego, poznańskiego Teatru Polskiego – „28 dniach” Olgi Szylajew – ukazano pewne aspekty i zagadnienia, o których trzeba pamiętać oraz o które należy walczyć. Jako studenci i przedstawiciele grup o dość doniosłej roli społecznej, możemy zadbać o to, aby realia biznesowe, uniwersyteckie, edukacyjne i pracownicze były względem kobiet (i ludzi w ogóle) bardziej wrażliwe, bezpieczne nie tylko wedle BHP, ale także impulsów ciała i duszy. Możemy mówić o potrzebach dziewczęcych, kobiecych, siostrzeńczych – o tym, że wszelkie tabu (wobec okresu, kultury gwałtu, zdrowia psychicznego...) powinny być wypłenione prawnie. Przecież po to obchodzimy 8 marca – dla kobiecych praw.

Wobec powyższego zadajmy sobie pytanie: jak stosuje się prawo do niesprawiedliwości patriarchalnych regulacji prawnych? Fundamentalny jest, chociażby artykuł 11(2) Kodeksu Pracy, który mówi o równym traktowaniu pracowników. W artykule 11(3) wskazane jest, jakich typów dyskryminacji nie można akceptować, poczynając od płci. Ponadto, w życie ma wejść Certyfikat Równości Płac BCC, o którym rozwiniemy się na łamach BUC-a, gdy będziemy o bardziej namacalny w przestrzeni normatywnej.

Wiele pisze i mówi się o kobiecej wolności w Polsce. Patrząc pod lupą na stan patriarchalnych nierówności w społeczeństwie, dostrzec możemy jednak, że mimo działań i sukcesywnych zmian społecznych, wciąż musimy mówić o otwarciu o naszych, kobiecych, potrzebach. Równość nie oznacza bowiem tolerancji, ma dążyć ku pełni jedności i empatii.

Karolina GOŁASZEWSKA
kargol7@st.amu.edu.pl



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140

Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelny
Marcin Nowicki

**Zastępca redaktora
naczelnego**
Maria Lutkowska

Sekretarz redakcji
Aleksandra Kłosowska

Numer makietał
Daria Bajorek
Maria Lutkowska

Wydawca numeru
Maria Lutkowska

Redakcja merytoryczna:
Olga Rydzewska,
Wiktor Kępiński

Korekta
Maria Lutkowska
Alicja Melanowicz
Natalia Rogowska
Marcin Nowicki
Aleksandra Kłosowska

Hanna Kułak
Milena Mrozek
Karina Szymczak
Hanna Yankouskaya

Korekta
Maria Lutkowska
Alicja Melanowicz
Natalia Rogowska
Marcin Nowicki
Izabela Tomaszewska

Redakcja
Daria Bajorek
Aleksandra Białas
Julia Biskup
Natalia Budna
Bartosz Chalupka
Oleksandra Dubova
Karolina Gołaszewska
Milena Guzik
Karolina Hałabiś
Evgeniya Ivanushchenko
Dominik Janicki

Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kępiński
Aleksandra Kłosowska
Karolina Kozłowska
Michał Kubisiak
Hanna Kułak
Julia Kwaśniewska
Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Maria Lutkowska
Jonasz Ławniczak

Magdalena Maciejewska
Bartosz Maluski
Agata Mania
Paweł Mańkowski
Jakub Marciniak
Mateusz Markiewicz
Alicja Melanowicz
Olga Michalska
Milena Mrozek
Marcin Nowicki
Natalia Rogowska
Olga Rydzewska

Michał Rzeźnik
Anastasiya Shcherba
Emilia Szobodzińska
Karina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Eryk Więsyk
Kinga Wiśniewska
Michał Wybrański
Hanna Yankouskaya

Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Lesław Ciesiołka

Skład komputerowy
Tomasz Szukała

Druk
Drukarnia Prasowa
ul. Malwowa 158, Skórzewo
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

Świat, w którym zyskaliśmy nieśmiertelność. Albo inaczej – świat, w którym śmierć nie jest nieodwracalna. Śmiertelny wypadek samochodowy? Drobną niedogodność, za dwa dni będziesz jak nowo narodzony. Tylko jedna rzecz zagraża całkowitemu poczuciu bezpieczeństwa, a jest nią instytucja kosiarzy. Jaką wizję przyszłości kreuje Neal Shusterman i co mają do zaoferowania „Kosiarze” poza krwawą sensacją?

W dobie przeludnienia, nieregulowanego już w sposób naturalny, powołano kosiarzy, mających kontrolować wielkość populacji. Tylko śmierć z ręki kosiarza ma charakter ostateczny. Kiedy Citra i Rowan zostaną praktykantami u jednego z nich, będą musieli opanować trudną, acz konieczną (i wręcz „szlachetną”!) sztukę zabijania, jednocześnie próbując nie stracić przy tym własnego człowieczeństwa.

Kondycja społeczeństwa przyszłości

Główna linia fabularna powieści skupia się na podążaniu za dwojgiem nastolatków, którzy mają okazję poznać sposoby działania kosiarzy oraz strukturę ich zgromadzenia – Kosodomu. Zaskakującą i okraszona dreszczykiem emocji fabuła nie jest jednak tym, na czym chciałabym się skupić. Bardziej interesujące wydaje się tło, czyli ogólne zasady funkcjonowania futurystycznego społeczeństwa. Posiadło ono wszelką wiedzę, która jest powszechnie dostępna i przechowywana w nieskończenie pojemnej chmurze, zwanej Thunderheadem, jednak ludzie w większości nie czują potrzeby, by po nią sięgać. Mając całą wiedzę na wyciągnięcie ręki, a także zarobki pozwalające na dość komfortowe życie nawet bez konieczności podejmowania pracy,

Społeczeństwo (nie do końca) nieśmiertelne

nie mają już do czego dążyć. Jednocześnie mogące się w nich pojawić rozpacz czy poczucie beznadziei eliminowane są przez znajdujące się w ich krwi nanity. Są przerażająco wręcz beznamiętni, a ich moralność jest zredefiniowana – jakże mogłoby być inaczej, skoro zrobienie krzywdy drugiemu człowiekowi nie czyni mu trwałej szkody?

Sam koncept nieśmiertelności nie jest specjalnie oryginalny, jednak Neal Shusterman podchodzi do niego w intrygujący sposób, który momentami wstrząsa czytelnikiem. Jego wyobrażenia budzą niepokój i bywają kontrowersyjne – już na samym początku książki dowiadujemy się, że ulubioną rozrywką dla niektórych znudzonych i spragnionych wrażeń nastolatków stało się popełnianie samobójstwa poprzez skok z dużej wysokości. Oczywiście po tym spektakularnym wyczynie trafia się na kilka dni do centrum ożywiania.

Przykazanie pierwsze: będziesz zabijał

Pracy kosiarzy zazwyczaj nie nazywa się zabijaniem, lecz w eufemistyczny sposób określa się jako „zbiory”. Istnienie tej profesji stało się koniecznością, a wykonujący ją i mający władzę nad życiem i śmiercią, cieszą się poważaniem. Codzienne obowiązki kosiarza postrzegamy jako okrutne, jednak Shusterman nie przedsta-

wia tego rozwiązania w sposób czarno-biały. Pokazuje sposoby, w jakie kosiarze-weterani starają się zachować empatię i żyć w zgodzie z samymi sobą, nie przestając wykonywać swojej pracy. Ich różne podejścia do tej kwestii oraz wysuwane argumenty skłaniają do dyskusji nad tym, co początkowo bezdyskusyjnie uznajemy za niemoralne.

Chociaż świat przedstawiony jest zupełnie oderwany od rzeczywistości, to jednak pewne elementy są w nim niezmiennie, na przykład lizusostwo względem wyżej postawionych, mimo że wyżej postawiony zajmuje pozycję kata. A może właśnie dlatego – aby pozyskać jego względy i zapewnić sobie bezpieczeństwo?

Beznamiętność i kpina

Można by zarzucić autorowi, że za mało skupił się na emocjach bohaterów. Myślę jednak, że tak miało być, ponieważ oni naprawdę niewiele czują. Ludzkie emocje na stałym poziomie utrzymują albo nanity we krwi, albo sesja terapeutyczna ze sztuczną inteligencją. Swoją drogą to jeden z bardziej pozytywnych obrazów AI. To właśnie Thunderhead, baza danych o rozwiniętej świadomości, nieobarczona ludzkimi błędami, zapewnia byt ludziom, troszcząc się o każdego z osobna.

Mimo dość przynębiających wniosków o społeczeństwie przyszłości, głównym bohate-



W lutym tego roku pierwszy tom „Kosiarzy” doczekał się wznowienia, co pozwala oczekiwać całej trylogii w polskich wydaniach

Maria LUTKOWSKA
marlut1@st.amu.edu.pl

27 stycznia Netflix wypuścił nowy serial „Lockwood & Co”, poruszający temat nadprzyrodzonych i złowrogich mocy. Jest to adaptacja uznanej przez czytelników serii o tym samym tytule, autorstwa brytyjskiego pisarza Jonathana Strouda. Seria składa się z pięciu tomów, a pierwszy sezon opiera się na wydarzeniach z dwóch powieści „Krzyżące schody” i „Szepcząca czaszka”.

Akcja serialu, podobnie jak książkowego pierwowzoru, rozgrywa się w alternatywnym Londynie. Pół wieku temu kraj został zaatakowany przez duchy, które niosą śmiertelne zagrożenie dla żyjących. To wydarzenie trafnie nazwano problemem. Jedynie nastolatki mogą walczyć z wrogiem, ponieważ tylko oni mają zdolność słyszenia i widzenia duchów. Jednak to dorośli zarządzają agencjami specjalizującymi się w walce z nieproszonymi gośćmi.

Młoda dziewczyna Lucy Carlyle przybywa do stolicy Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu nowego miejsca pracy. Ma wyjątkowy dar słyszenia duchów, nawet najsilniejszych. Po serii nieudanych prób znalezienia pracy w jednej z agencji, bohaterka trafia na rozmowę kwalifikacyjną w Lockwood & Co, gdzie robi dobre wrażenie na jej założycielu, Anthony Lockwoodzie. Agencja różni się od innych tym, że nie jest prowadzona przez dorosłych i ma tylko trzech pracowników: samego Lockwooda, jego przyjaciela George'a i odtąd Lucy.

Serial a książki

Serial z pewnością zaspokaja potrzeby fanów książek. Na początku, obserwując jego promocję, byłam dość sceptycznie nastawiona. Po

Duchy wędrują po ulicach Londynu



Kadr z serialu „Lockwood & Co”

pierwsze, aktorzy wyglądali na znacznie starszych niż książkowi bohaterowie, a po drugie, w zwiastunach brakowało tej tajemniczej atmosfery panującej w powieściach. Dlatego, dopóki pierwsze miejsce na Netflixie zajmował serial „Wednesday”, byłam pewna, że tę nową produkcję większość widzów po prostu ominie. Mimo to serial bardzo mi się spodobał, przynajmniej aktorstwem i chemią panującą między postaciami. Ruby Storks i Ca-

meron Chapman, którzy grali Anthony'ego i Lucy, dobrze wykonali swoją pracę, powołując do życia swoje książkowe postacie.

Na uwagę zasługuje fakt, że Netflix dodał do fabuły serialu autorskie wątki. Z reguły zmiana i wplatanie nowych historii w fabułę niekoniecznie jest dobrym pomysłem i często może zakończyć się niepowodzeniem projektu. Ale w przypadku serialu „Lockwood & Co” nastąpił wyjątek od tej reguły. Historia z życia

Lucy, którą dodali już scenarzyści serialu, wypadła dobrze i pomogła lepiej rozwinąć postać, pokazując ją jako silniejszą i bardziej pewną siebie.

Atmosfera i styl

Nawet jeśli nie czytaliście książek, to nic nie szkodzi, ponieważ ten serial jest świetny jako osobna produkcja. Uniwersum serialu zawarło w sobie część archaiczności nieodłącznie związanej z pierwotnym źródłem. Pojawiają się tu zarówno budki telefoniczne, jak i rapiery, które stały się właściwie główną bronią przeciwko duchom. Choć historia rozgrywa się w mniej lub bardziej współczesnym mieście, tujejsze lokacje przepełnione są atmosferą epoki wiktoriańskiej. A wraz z nadejściem „problemu” przyszedł koniec rozwoju technologicznego. Dlatego nie ma laptopów, smartfonów i innych gadżetów, które są dziś powszechne. Zamiast szukać informacji w sieci, bohaterowie muszą od czasu do czasu odwiedzać stare, dobre archiwum i nagrywać wiadomości głosowe na kasyety audio.

Czy warto oglądać? Oczywiście – serial „Lockwood & Co” jest zrealizowany na bardzo dobrym poziomie. Począwszy od stylizowanych napisów początkowych, w których z nagłówków gazet widz może zapoznać się z historią, a skończywszy na chemii między młodymi aktorami. Efekty specjalne również są bez zarzutu, duchy oraz inne zjawiska paranormalne odtworzono w szczególności i przerażający sposób. Akompaniament muzyczny dodaje tajemniczości i wywołuje lekki strach podczas oglądania. Dlatego można śmiało powiedzieć, że serial zasługuje na większy rezonans.

Oleksandra DUBOVA
oledub@st.amu.edu.pl

„Hogwarts Legacy” – spełnienie marzeń wielu pokoleń

10 lutego 2023 roku odbyła się światowa premiera gry „Hogwarts Legacy” („Dziedzictwo Hogwartu”) od studia Avalanche Software, chociaż właściciele edycji deluxe mogli zagrać trochę wcześniej, bo już 7 lutego. Gra okazała się hitem, zbiera wysokie noty w recenzjach i już przed premierą widniała na podium najczęściej kupowanych produkcji na platformie Steam.

Skąd ten sukces? Jedną z przyczyn jest na pewno brak konkurencji w tym szczególnym segmencie. „Hogwarts Legacy” jest pierwszą w historii grą z otwartym światem osadzoną w uniwersum stworzonym przez J.K. Rowling. Istniały już próby przeniesienia przygód Harry’ego Pottera do gier, jednak produkcje te nie odnosiły wielkich sukcesów. Co ciekawe, Avalanche Software zdecydowało się porzucić znanych nam z książek bohaterów i opowiedzieć nową historię, w której to gracz będzie grał pierwsze skrzypce.

Główna fabuła gry rozpoczyna się w XIX wieku i opiera na zdolnościach naszej postaci do widzenia i posługiwania się formą starożytnych magii, która nie jest dostępna dla zwykłych czarodziejów. W tle rozgrywa się też wątek buntu goblinów oraz problem licznych kłusowników porywających i mordujących magiczne stworzenia.

Rozgrywkę zaczynamy od wybrania wyglądu oraz imienia i nazwiska naszej postaci, a po krótkim wstępie fabularnym następuje wybór jednego z czterech domów w Hogwarcie. Jeśli nie spodoba nam się decyzja Tiary Przydziału, możemy wybrać dom według własnych upodobań. Możliwe też jest spersonalizowanie wyglądu naszej różdżki, która będzie nam towarzyszyła do końca gry. Podczas rozgrywania głównej linii fabularnej oraz ogromnej, ale nie przytłaczającej liczby zadań pobocznych będziemy poznawać wiele znanych z książek zaklęć. Niektóre będą przydatne podczas eksploracji świata, a inne konieczne do użycia w walce. Poznamy takie czary jak Lumos, Expelliarmus, Protego czy nawet Zaklęcia Niewybaczalne.

Do dyspozycji gracza jest otwarty świat, w którym znajdują się tytułowy Hogwart, Hogsmeade oraz inne wioski. Cała kraina wypełniona jest zadaniami pobocznymi oraz opcjonalnymi



Oktładka gry „Hogwarts Legacy”

mi aktywnościami, takimi jak zagadki logiczne czy grupy przeciwników do pokonania. Trzeba przyznać, że twórcy niezwykle wiernie odwzorowali Hogwart znany z filmów – do tego stopnia, że możemy znaleźć poszczególne miejsca, w których rozgrywała się akcja „Harry’ego Pottera”.

Świat możemy przemierzać za pomocą szybkiej podróży przy użyciu proszku Fiuu, zaczarowanej miotły czy latających zwierząt. Dla niektórych rozczarowujący może okazać się fakt, iż twórcy nie zaimplementowali do gry sportu czarodziejów, jakim jest Quidditch, co jest uzasadnione fabularnie poprzez zakaz rozgrywek wydany przez dyrektora Hogwartu ze wzglę-

du na kontuzje uczniów. Słaba to jednak wymówka, gdyż w książkach J.K. Rowling, których akcja rozgrywa się znacznie później, urazy grających również miały miejsce, jednak nie blokowało to rozgrywek.

„Hogwarts Legacy” jest grą, na którą czekało wielu fanów książek i filmów o Harrym Potterze. Pozwala wcielić się w rolę czarodzieja lub czarownicy i poznać ten cudowny, magiczny świat. Każdemu, kto kupi grę, życzę udanej zabawy i niezapomnianych wrażeń.

Michał WYBRAŃSKI
micwyb@st.amu.edu.pl

„Pięknej i Bestii” gościem bądź!

„Piękna i Bestia” to jeden z najbardziej znanych filmów Disneya, który powstał na kanwie popularnej francuskiej baśni autorstwa Jeanne-Marie Leprince de Beaumont. Animacja z 1991 roku okazała się takim sukcesem, że Disney postanowił nawet przenieść ją na deski Broadwayu jako musical. Od lutego natomiast musicalową adaptację można oglądać w Teatrze Muzycznym w Poznaniu!

Sukces animacji doprowadził do przeniesienia historii na Broadway, gdzie za produkcję byli odpowiedzialni ci sami ludzie, którzy pracowali przy filmie – muzykę napisał Alan Menken, słowa stworzyli Tim Rice oraz Howard Ashman (Rice napisał nowe piosenki, natomiast teksty zmarłego w trakcie tworzenia filmu Ashmana zostały niezmiennione), libretto jest autorstwa Lindy Woolverton, która stworzyła scenariusz filmu. Spektakl okazał się jednym z największych hitów Broadwayu, a także przyczynił się do powstania innych adaptacji musicalowych filmów Disneya (choćby „Król Lew” czy „Mary Poppins” doczekały się takich wersji). Musical na bazie „Pięknej i Bestii” trafił na deski teatrów na całym globie i odniósł niemal sukces.

Reżyserem polskiej wersji w Teatrze Muzycznym w Poznaniu został Jerzy Jan Połoński, który miał okazję zmierzyć się „Piękną i Bestią” już wcześniej. W 2018 roku miała bowiem miejsce premiera jego adaptacji na bazie oryginalnego tekstu

Leprince de Beaumont w krakowskim teatrze „Grotoska”, co z pewnością pomogło podczas tworzenia przedstawienia na bazie filmu Disneya.

Magia Disneya na deskach teatru

Musicalowa adaptacja „Pięknej i Bestii” przenosi magię filmów Disneya na deski teatralne z niespotykaną wręcz gracją i pietyzmem (nawet ostrzeżenie przed jedzeniem i korzystaniem z telefonów podczas spektaklu nawiązuje do przedstawienia!). Widzowie niezależnie od wieku będą oczarowani tą znaną wszystkim historią, która w formie musicalu nabiera jeszcze bardziej wyrazistych kolorów. Historia powinna być raczej znana, jednak warto ją streścić – zły książę zostaje przemieniony przez czarodziejkę w Bestię, a jego służba w przedmioty, co jest karą za brak okazania jej litości, gdy pod postacią żebraczki została przepędzona przez księcia. Aby odzyskać ludzką formę, książę musi nauczyć się kochać, ale także sprawić, by pokochała go osoba, która zrobi to pomimo jego odpychającej aparycji. Musi się jednak spieszyć, zanim opadnie ostatni płatek z zaczarowanej róży, którą otrzymał od czarodziejki. W przeciwnym razie już na zawsze pozostanie Bestią. Poznanie Belli, córki wynalazcy Maurycego, może sprawić, że odzyska on ludzką formę. Jednak przeszkodą może okazać się inny adorator pięknej dziewczyny – Gaston.

Spektakl to niewątpliwie pokaz kunsztu aktorów Teatru Muzycznego w Poznaniu. Wcielająca się w rolę Belli Urszula Laudańska wypadła znakomicie, co więcej, jest to jej pierwsza tak ważna rola w karierze. Doskonale wypadł również Ka-

rol Drozd, będący w tym przedstawieniu Bestią. Nie tylko potrafił pokazać z jednej strony początkową wrogość swojej postaci, ale także jej ewolucję. Co więcej, robił to pomimo sporego utrudnienia, jakim jest futrzany kostium oraz ograniczająca widzenie maska. Drozd zasługuje także na wyróżnienie, ze względu na stworzenie choreografii tancerzy, która pasuje jak ulał do treści przedstawienia. Nie sposób przemilczeć także kreacji Jakuba Rajmana, którego Gaston kradnie show! Mimo iż jest to postać negatywna i niekiedy wręcz karykaturalnie przerysowana w swoim zachowaniu, tak dzięki Rajmanowi rozbawia on publiczność oraz stanowi parodię perfekcyjnych książąt z innych bajek Disneya.

Nie wolno jednak zapominać o służbie Bestii, czyli Płomyku, Trybiku, Babette, Garderobie oraz Pani Imbryk i jej synku, Bryczku. W te role wcielają się kolejno: Maciej Zaruski, Maciej Ogórkiewicz, Katarzyna Tapek, Anita Urban, Dagmara Rybak oraz Iga Klein (udziela tylko swojego głosu, ale na scenie możemy ją zobaczyć także w roli jednej z adoratorek Gastona). Każdy z tych aktorów i aktorek wykonał solidną robotę, oddając cechy osobowości swoich bohaterów: francuski charakter i romantyzm Płomyka, punktualność i kurczowe wręcz trzymanie się zasad Trybika, powab i kokieteryę Babette, teatralność Garderoby, rodzicielską miłość Pani Imbryk oraz ciekawość i dziecinność Bryczka.

Realizacja na najwyższym poziomie

Oczywiście skoro jest to musical to są w nim piosenki. Widzowie znający „Piękną i Bestię” na pamięć znają wszystkie

Księżna Diana – ponadczasowa ikona

Choć od jej śmierci minęło ponad dwadzieścia pięć lat, brytyjska księżna nadal pozostaje żywa w pamięci wielu, dzięki kolejnym kreacjom jej postaci w popkulturze. Dlaczego lady Diana Spencer wciąż porusza tłumy w XXI wieku?

Brytyjska rodzina królewska to bez wątpienia zbiór postaci w historii monarchii. Jednak to Diana, bardziej niż ktokolwiek inny, zachęca do ciągłego odkrywania jej wizerunku (co potwierdzają ostatnie sezony serialu „The Crown” czy dramat biograficzny „Spencer” z 2021 roku). Choć niektórzy mogą odczuwać przesyć jej osobą, trudno nie przyznać, że wielu wciąż pragnie poznać jej historię. Historię, która jest tak samo bajkowa, jak i niezwykle tragiczna.

Księżniczka nowej ery

Diana Frances Spencer, choć urodziła się w rodzinie arystokratycznej i od pierwszych chwil życia była blisko związana z rodziną królewską, prowadziła dość zwyczajne życie. Jej dni były wypełnione lekcjami i zabawą z rówieśnikami w spokojnej posiadłości w pobliżu wioski Sandringham. Niestety, już wtedy życie zaczęło rzucać jej kłody pod nogi. Rozwód rodziców, trudności w szkole i napięta relacja z macochą sprawiły, że późniejsza księżna Walii opisywała swoje dzieciństwo jako „niezwykle smutne”. Po wielu latach ucieczką od zmartwień okazało się zamieszkanie z przyjaciółkami w Londynie, gdzie Diana miała się wielu zawodów – instruktorki tańca, niani czy asystentki w żłobku.

„Odklejeni od rzeczywistości”, „zamknięci w bańce”, „egoiści” – to tylko część zarzutów, które padały w stronę rodu Windsorów, od kiedy królowa Elżbieta II stała się głową Wspólnoty Narodów. Jej mąż, książę Filip, niejednokrotnie próbował odmienić wizerunek Windsorów, jednakże z mamym skutkiem. Pojawienie się lady Di miało wnieść powiew świeżości – wszak stała się żoną przyszłego następcy tronu. Mało kto mógł jednak przewidzieć, jak szerokim echem jej osoba odbije się w świecie.

Jej doświadczenia sprawiły, że była otwarta na życie poza murami królewskich posiadłości. Dowodem na to mogła być pierwsza oficjalna podróż księżnej do Australii w 1983 roku, dwa lata po ślubie z ówczesnym księciem Walii, obecnie królem Karolem III. Podbiła serca wszystkich – matki pokochały ją za opiekuńczość względem syna Williama, którego zabrała ze sobą, jednocześnie łamiąc dotychczasową tradycję zostawiania dzieci w Wielkiej Brytanii. Australijscy republikanie z premierem Bobem Hawke na czele, wtedy niechętnie nastawieni do mo-



Księżna Diana z wizytą w Rosji w 1995 roku

narchii, zdawali się topnieć pod nieśmiałym urokiem Diany. Gdziekolwiek się nie pojawiała, ujmowała poddanych chęcią kontaktu, która była dotychczas niespotykana wśród przedstawicieli brytyjskiej rodziny królewskiej. A oni chłonili jej obecność niczym gąbka.

Służba ludzkości

„Królowa ludzkich serc” – tak podczas uroczystości pogrzebowych określił księżną były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair, trafnie podsumowując spuściznę jej krótkiego życia. Popularność Diany miała bowiem swoje źródła w czymś więcej, niż tylko w jej uroku osobistym i niezaprzeczalnej urodzie. Całe swoje życie poświęciła innym, zaczynając od pracy z dziećmi, kończąc na licznych organizacjach charytatywnych, nad który-

mi objęła opiekę jako osoba publiczna. Choć dobroczynna działalność była obiektem zainteresowania większości członków rodziny królewskiej, Diana zwracała uwagę na sprawy omijane przez ogół społeczeństwa.

Jednymi z najbardziej kultowych zdjęć kobiety są sceny z jej spacerów na polach minowych w Angoli i uścisków dłoni z pacjentami chorującymi na AIDS. W trakcie jednej z wizyt w hospicjum dla pacjentów z wirusem HIV mówiła: „HIV nie czyni ludzi niebezpiecznymi do poznawania. Można uściskać im rękę i ich przytulić. Niebiosa wiedzą, jak tego potrzebują”. Kierowała nią chęć niesienia pomocy, niezwykłym jest więc, iż większość jej pracy obracała się wokół szpitali, schronisk dla bezdomnych, uzależnionych od narkotyków i młodzieży. Podopieczni głęboko wierzyli, że jest dla nich szansą na lepsze jutro.

Nieidealna męczennica?

Choć obecnie postać Diany jest wspominana przez pryzmat jej wpływu na społeczeństwo, za swojego życia nie była oceniana równie pozytywnie. I nie można też stwierdzić, że była aniołem. Wizerunek jej idealnego małżeństwa został splamiony przez ujawnienie zdrad, popełnionych zarówno przez księcia Walii, jak i nią samą. Ponadto krytycy zarzucali jej egocentryzm, niestabilność i czerpanie władzy z nieustannego zainteresowania mediów.

Z drugiej strony, sama księżna nie starała się ukrywać swoich wad – w głośnym wywiadzie dla BBC z 1995 roku otwarcie mówiła o depresji poporodowej, zaburzeniach odżywiania i samookaleczeniach, z którymi musiała się zmierzyć. Kwestie te, choć otwarcie poruszane w ostatnich czasach, w latach 90. stanowiły pewne tabu i szokowały odbiorców. Wiadomość o tym, że nawet jedna z najwyższych postawionych kobiet w państwie zmaga się z tak poważnymi problemami, dawało innym poczucie zrozumienia.

Dopiero tragiczny wypadek, który przedwcześnie zakończył jej życie dwa lata później, miał przypieczętować jej pozycję jako jednej z najważniejszych osób XX wieku. Już wtedy wśród Brytyjczyków można było zaobserwować jednogłośnie zmianę i falę współczucia dla osieroconych synów księżnej. Być może właśnie dlatego Diana pozostaje żywa w naszej pamięci do dzisiaj. Śledząc jej losy, nie sposób nie zadać pytania – czy monarchia wyglądałaby inaczej, gdyby wciąż była z nami? Jak mocno oddziaływałaby na mieszkańców Zjednoczonego Królestwa? Po chwili zastanowienia pozostaje jedynie z żalem stwierdzić, że nie będzie nam dane się tego dowiedzieć.

Karolina HAŁABIŚ
karhal2@st.amu.edu.pl

utwory pojawiające się w filmie, jak również nowe piosenki, napisane specjalnie z myślą o musicalu. Wszystkie zostały przetłumaczone przez Małgorzatę Ryś, a w wykonaniu orkiestry pod batutą Tomasza Szymusia wybrzmiewają pięknie i przyjemnie dla ucha. Docenić trzeba także pomysł realizacyjny nawiązujący do filmu, ale przy tym niekiedy go poszerzającym, czego przykładem jest przykuwająca oko i ucho rewią talerzy i sztuczków w piosence „Gościem bądź”. Z nowych piosenek szczególnie warto zwrócić uwagę na utwór „Ja”, który jest kolejnym momentem, w którym Gaston kradnie show Belli.

Fantastycznie wypadają także scenografia i kostiumy. Stworzenie scenografii z pewnością nie należało do zadań łatwych, jako że jej elementy w tym musicalu są ożywione, jednak inspiracja książkową formą sprawiła, że udało się stworzyć niezapomnianą scenerię dla tej opowieści. Inspiracja książkami jest także widoczna w kostiumach – postaci wydają się żywcem wyrwane ze starych ilustracji modowych, a papierowe ozdoby dodatkowo nadają rysunkom charakteru wielowymiarowości.

Można więc z całą pewnością powiedzieć, że „Piękna i Bestia” to świetna rozrywka dla całej rodziny. Swoje miejsce znajdą tu zarówno ci, którzy z klasyczną adaptacją Disneya dorastali, jak również ci, którzy dopiero niedawno mieli okazję zapoznać się z tym filmem. Niestety bilety na cały sezon się wyprzedały – chętni na zobaczenie tego spektaklu będą musieli poczekać, aż zostaną ogłoszone spektakle jesienne. Jeśli jednak dostaniecie się na przedstawienie, to rozsiądźcie się wygodnie i niczym w słowach piosenki Płomyka „Gościem bądźcie”!

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl



Rewia sztuczków rodem z kabaretu to jeden z najbardziej zapadających w pamięć momentów poznańskiej adaptacji „Pięknej i Bestii”

Ilu moich znajomych z Instagrama przeczyta ten tekst o muzyce?

Wyobraźcie sobie taką sytuację: wstajecie jak co dzień rano, idziecie zrobić kawę i przy porannym śniadaniu sięgacie po telefon, by przejrzeć social media, wiadomości czy posłuchać muzyki, ale doznajecie szoku. Nie możecie tego zrobić. Nie ma internetu!

Chyba wolę nie myśleć o waszych (i mojej) reakcji... Od razu przed oczami mam stado rozwścieczonych i bezsilnych twarzy, a w uszach słyszę kakofonię. Większość wyglądałaby jak żywcem wyjęta postać z obrazu Edvarda Muncha „Krzyk”. Z góry przepraszam za taki apokaliptyczny wstęp, ale bądźmy spokojni. Internet ma się dobrze! Prawda jest taka, że social media dają nam ogromne możliwości rozwoju oraz rozrywki i to nic dziwnego, że nie wyobrażamy sobie funkcjonowania bez tej technologii. Pewnie większość nadal nie wie, do czego dąży, pisząc ten felieton muzyczny, ale taki wstęp był potrzebny, uwierzcie.

Od pewnego czasu moje myśli krążą wokół tematu związanego z muzyką i młodymi ludźmi. Fakt, że ludzie słuchają muzyki, jest raczej oczywisty i większość powie, że to dla nich codzienność. Słuchanie muzyki jest dla niektórych tak niezbędną oraz codzienną czynnością jak zjedzenie obiadu czy umycie zębów. Rozmaite utwory towarzyszą nam w pracy, w domu, w tramwaju i na spacerze. Swoją drogą to piękne, że zawsze można być tak blisko ze swoim ulubionym kawałkiem czy wykonawcą, prawda? Natomiast mnie frapuje pytanie, czy młodzi ludzie czytają o muzyce tak często, jak jej słuchają?

Internetowe badania

Może powinnam zacząć od wyznania, że interesuje mnie, czy społeczeństwo w ogóle chciałoby czytać o tej sztuce. Następną sprawą to taka moja czysta ciekawość... Jakie wątki ze sfery muzycznej są godne uwagi dla moich znajomych? Czy gdyby dostęp do takiej literatury był łatwy (nie oszukujemy się, muzyka to nie sport i o niej nie ma zbyt wielu rzetelnych blogów, czasopism, stron internetowych) to chętniej sięgali by po takie lektury? Pytań mam wiele, ale kto pyta, nie błądzi! W rozwiązaniu mojej zagadki pomógł mi internet,

a dokładnie konto na Instagramie. Ha! Mówiłam, że wstęp do tego felietonu jest potrzebny, teraz się dużo wyjaśni.

Z mojego doświadczenia wynika, że Instagram jest najbardziej pomocny, jeśli potrzeba odzewu innych. Facebook odchodzi do lamusa. Zadałam parę pytań za pomocą ankiet na Insta Stories i poprosiłam zainteresowanych o udzielanie odpowiedzi. Oczywiście wszystko pod przysięgą anonimowości. Z tego miejsca bardzo dziękuję każdemu, kto wziął udział w moich „badaniach” – brzmi to bar-



Moc social mediów

dzo poważnie, ale niech będzie. Jakby nie było, twórcy ten tekst razem ze mną.

Najpierw zapytałam bardzo ogólnie, czy moi znajomi (studenci, osoby pracujące lub uczące się w przedziale wiekowym od 17 do 35 roku życia) czytają o muzyce. Dodałam, że chodzi mi o recenzje, felietony, wywiady muzyczne, artykuły, czasopisma związane z muzyką, blogi, fanpage i inne. Tutaj odpowiedzi mnie nie zdziwiły. Brałam pod uwagę fakt, że często przeglądając internet, trafi się na jakiś wpis muzyczny i nawet przypadkiem można pokusić się o przeczytanie. AŻ 71 osób odpowiedziało, że czasem zdarzy im się coś przeczytać – moje serce się raduje. Regularnie na ten temat czyta TYLKO 14 moich znajomych biorących udział w ankiecie, a 25 osób w ogóle o niej nie czyta. Chcę wierzyć, iż ci, którzy zaznaczyli, że chociaż czasem sięgają po taką lekturę, robią to z przyjemnością. Przecież to daje tyle korzyści! Od poszerzenia słownictwa i wiedzy, a także zdolności pisania przez poprawę pamięci oraz koncentracji, aż po zdobywanie ciekawych tematów do rozmowy. Można naprawdę zablasygnąć w towarzystwie, mówiąc, że kaprys to nie tylko nagła zachcianka, ale też forma muzyczna.

Preferowane treści muzyczne

Kolejne pytanie skierowałam do osób, które dały odpowiedź: „czytam o muzyce regularnie” oraz „czasem mi się to zdarzy”. Zapytałam o to, jakie teksty tego typu są dla nich ciekawe, jakie problemy muzyczne ich interesują, gdzie o tym czytają. Pojawili się bardzo intrygujące odpowiedzi. NAJCZĘŚCIEJ moi znajomi czytają wywiady z muzykami, sensacje z tego środowiska oraz biografie kompozytorów. RZADZIEJ są to recenzje płyt i koncertów, felietony czy też wzmianki o konfliktach i zawirowaniach w świecie muzycznym. POJEDYN-

CZE osoby zaglądną do ciekawostek z historii muzyki, a nawet zagłębiają się w zakres badań naukowych na temat szybszej nauki przy muzyce instrumentalnej.

A gdzie o tym wszystkim czytamy? Chyba nikogo nie zdziwi – oczywiście WIEKSZOŚĆ w internecie, ale są wyjątki! „Czytam gazety w pracy, bo dorabiam sobie w kiosku i robię to często. Może nie codziennie, ale 3-4 razy w tygodniu”. Pojawili się też inne odpowiedzi: „Czytam, bo mam przedmiot na studiach związany z muzyką” – i świetnie! Czasem w takich przypadkowych sytuacjach odkrywamy, że coś nas interesuje. Ja też na początku czytałam o muzyce, bo musiałam. Pamiętam, jak studiowałam teksty o Beethovenie (zadanie do szkoły muzycznej) i byłam tym nieco znużona, aż do chwili, gdy przeczytałam, że Beethoven napisał swoją IX symfonię, będąc głuchym! Miałam może ze dwanaście lat. Zaczęłam dociekać, interesować się jego życiorysem i czytać o nim więcej.

Perspektywa na przyszłość

Ostatnie pytanie brzmiało: o czym z dziedziny muzyki chcą czytać młodzi ludzie? W SZCZEGÓLNOŚCI interesują ich treści o muzyce filmowej, życiu gwiazd oraz analizy piosenek i znaczenie ich tekstów – bardzo ciekawa propozycja. Taka interpretacja i zagłębienie się w myśli autora może być pasjonujące. Padły też takie propozycje jak: recenzje piosenek, biografie, musical, informacje o nowościach muzycznych, tematy improwizacji i jazzu. Jak widać, chęci są, ale czy są też ku temu możliwości? Z tym już gorzej. Czasopism muzycznych, blogów czy fanpage’ów jest jak na lekarstwo. Wiem, że popyt na takie treści czasem jest bardzo mały, ale może dlatego piszmy o tym, o czym ludzie chcą czytać? Słuchajmy wskazówek naszych potencjalnych czytelników, pytajmy ich o zdanie.

Jak bardzo świat muzyki byłby rozbudowany i kolorowy, gdybyśmy czytali o tym, czego słuchamy! Nieważne czy to utwór klasyczny, popowy czy rockowy. To byłoby praktyczne, gdyby na temat każdego utworu, gatunku muzycznego, kompozytora, zjawiska można było coś przeczytać bez dłuższego szukania, mając wiedzę na wyciągnięcie ręki. Rozmarzyłam się, wiem. Dążę do tego, że mamy ogromne możliwości, by poznać gusta innych. Szkoda, że zadajemy tak mało pytań. W zaledwie kilka godzin dowiedziałam się tak wiele o muzyce od różnych osób – melomanów, ale też amatorów i osób związanych zawodowo z muzyką. Może czas stworzyć własny blog muzyczny? Przecież mam tutaj cudowne tematy do tekstów. Przesyłam je dalej. Pytajmy. Rozmawiajmy. Słuchajmy. Piszmy. Poszerzajmy horyzonty.

Kinga WIŚNIEWSKA
Kingwis3@st.amu.edu.pl

Teraz już naprawdę będzie prawdziwie

Masz na to dwie minuty. Dwie minuty, codziennie po zobaczeniu na ekranie telefonu powiadomienia „It’s time to BeReal!”. Odblokowujesz ekran, wchodzisz w aplikację i robisz zdjęcie tu i teraz, zarówno przednim, jak i tylnym aparatem – w nagrodę dostajesz dostęp do zdjęć znajomych i przepustkę do świata autentyczności.

W ten sposób działa jedna z platform społecznościowych – BeReal. I choć status najnowszej może do niej nie pasować – bo aplikacja powstała pod koniec 2019 roku – to już status jednej z najpopularniejszych jest jak najbardziej adekwatny. Aplikacja pochodzi z Francji, a jej twórcami są Alexis Barreyat i Kevin Perreau. Każdego dnia dziesięć milionów użytkowników używa BeReal, by pokazać, jacy są naprawdę. Bez filtrów, bez przygotowania, bez udawania. Ale czy na pewno?

Początki

Koncept uwieczniania obrazu zarówno z przedniej, jak i tylnej kamery nie jest nowy. Wcześniej wykorzystywała go na przykład aplikacja Frontback. Natomiast Minutiae z 2017 roku jest uderzająco podobna do BeReal, a jeden z jej twórców twierdzi, że BeReal „znacząco się nią zainspirowało”. Pobierając Minutiae rozpoczynamy projekt trwający 1440 dni. Każdego dnia, każda osoba na świecie posiadająca aplikację dostaje powiadomienie z poleceniem wykonania zdjęcia tego, co znajduje się właśnie przed nią. Wszyscy dostają je w tym samym momencie, ale każdego dnia

przychodzi ono w innej minucie. Dlatego projekt trwa 1440 dni – dokładnie tyle jest minut w 24 godzinach. Po otrzymaniu powiadomienia, użytkownicy mają 5 sekund na wykonanie zdjęcia, następnie mogą zacząć przeglądać zdjęcia pozostałych użytkowników. Na koniec projektu dostajemy dostęp do całego naszego archiwum, które możemy wydrukować. BeReal, oprócz podglądu zdjęć osób z całego świata (które wyraziły zgodę na to, by je udostępnić innym) zapewnia przede wszystkim dostęp do zdjęć naszych najbliższych znajomych. Daje też o wiele więcej czasu, by zrobić zdjęcia, a jeśli nie zdążymy – możemy w każdym momencie wstawić „spóźnione” BeReal. Każde zdjęcie znika po 24 godzinach. Bez wątpliwości widać inspirację Minutiae w BeReal, jednak aplikacje różnią się pewnymi detalami.

Autentyczność lekarstwem na perfekcję

Automatycznie nasuwa się pytanie – dlaczego platforma, określana często mianem anty-społecznościowej, okazała się hitem? Odpowiedź jest dość intuicyjna. Facebook, Instagram, Twitter i TikTok to miejsca, w których wizerunki starannie się dopracowuje. Dbamy o jakość zdjęć, dostosowujemy oświetlenie, ubiór, makijaż, pozę, a czasem spędzamy godziny nad tworzeniem dobrego opisu do pojedynczego posta. Staramy się mieć pełną kontrolę nad tym, jak postrzegają nas inni użytkownicy; myślimy o każdym szczególe, tworząc swój internetowy obraz. Oczywiście nie jest to „diagnoza” uniwersalna, pasująca do wszystkich użytkowników, ponieważ rzeczywistość coraz więcej mówi się o autentyczności w mediach społecznościowych. Przykładem może być chociażby ruch body positive, funkcja udostępniania relacji na Instagramie grupie

„bliskich znajomych” czy nawet zakładanie dodatkowych, prywatnych kont w tej aplikacji – dostępnych tylko dla nielicznych obserwatorów, zazwyczaj najbliższych przyjaciół. Niemniej jednak, mamy kolektywną świadomość tego, że media społecznościowe nie równają się z życiem poza nimi. Co więcej, jesteśmy zmęczeni oglądaniem świata wyidealizowanego i porównywaniem go do naszego, które „instagramowe” nie jest. Mamy dosyć FOMO i porównywania się do innych ludzi, których w większości nawet nigdy osobiście nie spotkamy. Dlatego BeReal stara się odpowiadać na te potrzeby i wygląda, że w jakimś stopniu to się mu udaje. Idea anty-społecznej aplikacji społecznościowej to spojrzenie wstecz i wprzód jednocześnie. Wstecz, bo odwołuje się do haseł kampanii z końca lat 90. – „w internecie każdy może być sobą”. Wprzód, ponieważ rozpoznaje podobieństwo obecnych potrzeb do tych z lat 90. i próbuje je zaadaptować do dzisiejszej rzeczywistości.

Anty-społecznościowa czy nie do końca?

Aplikacja jest najbardziej popularna wśród generacji Z, szczególnie wśród studentów w USA i we Francji, jednak w Polsce jej popularność również wzrasta. BeReal jest w pewnym sensie rozbudowaną formą grupowego czatu ze znajomymi. Użytkownicy dodają swoje zdjęcia po to, by zobaczyć, co dzieje się u ich przyjaciół. Dodatkowym atutem aplikacji jest funkcja realmoji, czyli możliwość zareagowania na zdjęcia innych za pomocą własnego selfie wyrażającego konkretną emocję. Zamiast bezosobowych emotek pojawiają się więc spersonalizowane możliwości reakcji. Jednak aplikacja ma też swoje wady, kiedy analizujemy ją choćby pod kątem autentyczności. W Minutiae pięć sekund na wykona-

Norwegia zimowymi mistrzami stoi

Marzec to miesiąc, w którym corocznie wszystkie zimowe federacje rozgrywają imprezy mistrzowskie. Nie inaczej było w tym roku, a Norwegia znów wzięła większość medali. Z Planicy, gdzie odbywały się Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym oraz Oberhofu, w którym rywalizowano w biathlonie, Wikingowie przywieźli równe 40 medali.

Niemala w medalowych zniwach była rola dominatorów i idoli norweskich nart. Wielkie trio: Johannes Klaebo, Johannes Boe oraz Jarl Magnus Riiber biegając, skacząc i strzelając, wywalczyło łącznie 16 krążków. Po czasach wielkich sportowców pokroju Ole Einara Bjoerndalena, Marit Bjoergen czy Pettera Northuga, Norwegia ma nowych sportowych czempionów, którzy nawet na chwilę nie dają zapomnieć o swoich sukcesach. Skandynawowie nie muszą martwić się również o swoich następców. Tam śnieg płynie w żyłach każdego młodego sportowca.

Trzej muszkietierowie trzech konkurencji

Alexander Dumas, gdyby żył w XXI wieku, swą powieść musiałby przenieść do Norwegii. Okolice magicznego dla Oslo wzgórza Holmenkollen to idealne miejsce do rozpoczęcia historii o trzech doskonałych sportowcach, którzy na lata zdominowali swoje konkurencje.

Johannes Thingnes Boe to biathlonowy mistrz urodzony przed trzydziestoma laty w Strynie. Starty zaczynał, gdy trasy biathlonowe podbijali Emil Hegle Svendsen i Martin Fourcade. Rudowłosy młodzieniec szybko pokazał swoją niesamowitą moc w biegu i dokładając dobre strzelanie, wkraść się do czołówki rywalizacji. Na zwycięstwo w Pucharze Świata czekał niecały rok od debiutu. W grudniu 2014 roku we francuskiej miejscowości Le Grand-Bornand stanął na najwyższym stopniu podium Pucharu Świata. Tak rozpoczął wielką dominację, która wciąż trwa. Jest ośmiokrotnym medalistą i pięciokrotnym mistrzem olimpijskim. Na swoim koncie ma 31 medali MŚ, w tym aż 17 złotych. Wygrywał trzykrotnie wielką Kryształową Kulę, a czwartą zapewnił sobie już na początku marca. Nie zamierza kończyć kariery i stawia sobie nowe cele. Jednym z nich może być próba pobicia rekordu wielkiego mentora, rodaka Boe, Ole Einara Bjoerndalena, który zawody PŚ wygrał 94 razy. Johannes na swoim koncie ma 72 zwycięstwa.

Skacze najdalej, biega najszybciej

Jarl Magnus Riiber to najlepszy kombinator norweski ostatnich lat. Konkurencja polegająca na oddaniu jednego skoku, a



– Norwegowie na MŚ w narciarstwie klasycznym i biathlonie zdobyli 40 medali

potem na podstawie wyniku, który przeliczany jest na sekundy, przebiegnięciu trasy biegowej, wydaje się skrojona pod Norwegów. Od lat byli w czołówce, ale dominatora doczekali się właśnie teraz. To właśnie dwudziestostoseściolatek od kilku sezonów, jeśli tylko zdrowie dopisuje, niszczy wszystkich swoich rywali. Ostatnie Igrzyska Olimpijskie były koszmarem dla Norwega, który przez pozytywny wynik testu na koronawirusa nie wystąpił w żadnej z konkurencji, choć do Pekinu przyjechał. Wcześniejsza olimpiada dla początkującego kombinatora zakończyła się srebrnym medalem wywalczonym drużynowo w Pjongjangu. Dużo lepiej idzie mu na MŚ – tam zdobył już jedenaście medali, stając się ośmiokrotnym mistrzem globu. Biorąc pod uwagę niezbyt bogatą liczbę konkurencji w kombinacji, wynik ten jest wielkim wyczynem. Riiber od pięciu lat pozostaje mist-

rzem PŚ, a liczba jego pojedynczych zwycięstw w pucharowej rywalizacji wynosi 55.

Doskonały Wiking biega na nartach

Johannes Hestfold Klaebo już wiele lat temu okrzyknięty został wielkim następcą Pettera Northuga, choćby dlatego, że najlepsze wyniki osiągał w sprintach, a jego finisz był piorunujący. O to w biegach narciarskich w końcu chodzi. Niespełna dwudziestosiemioletni zawodnik rozpoczął starty w sezonie 2015/16. Wtedy też zdobył pierwsze punkty, a na triumf czekał rok. Podobnie jak Justyna Kowalczyk, tak i Klaebo pierwszą wiktoria odniósł w estońskiej Otepie. Potem jeszcze 64 razy wygrywał zawody o Puchar Świata, zgarniając po drodze trzy duże i cztery małe Kryształowe Kule. Dwie kolejne czekają na niego w tym, kończącym się już sezonie. Johannes jest też medalistą IO i MŚ. Na imprezie czterolecia wygrał do tej pory siedem medali, w tym pięć złotych. Jeszcze lepiej radzi sobie na czempionacie globu. Tu jego medalowy dorobek wynosi dwanaście, a tytułów mistrza świata uzbierał już dziewięć.

To była ich zima, to były ich mistrzostwa

Niebywalej rzeczy dokonali norwescy dominatorzy na tegorocznych imprezach docelowych. Wszyscy zdobyli przynajmniej jeden tytuł mistrza świata i wywalczyli przyjemniej po cztery medale. Procentowo najlepszym wynikiem może pochwalić się Riiber. Kombinator na cztery starty przywiózł ze słoweńskiej Planicy cztery złota. Więcej, bo aż siedem medali w każdej z konkurencji, wywalczył w Oberhofie Boe w biathlonowych zawodach. Pięciokrotnie został mistrzem świata. Nie gorzej wygląda bilans trzeciego Klaebo. Biegacz wywalczył w Planicy pięć medali, w tym trzy złote.

Tych trzech zawodników zdobyło tyle medali na tegorocznych MŚ, ile Polska przez ostatnie dziesięć lat w biegach, skokach, kombinacji, narciarstwie alpejskim i biathlonie łącznie. Galdhøpiggen, czyli najwyższy szczyt Norwegii, jest o trzydzieści metrów niższy niż nasze Rysy. Norwegowie jednak zupełnie inaczej traktują zimę. Norwegia jako państwo podchodzi odpowiedzialnie do wydatkowania publicznych pieniędzy na te dyscypliny, które rokuje i przynoszą medale. Jako naród nie narzekają i od listopada nie wyczekują lata – przez pół roku cieszą się każdym zimowym, śnieżnym dniem, spędzając wolny czas na nartach. Być może kiedyś i w Polsce będziemy tak żyć.

Eryk WIĘSYK
erywie@st.amu.edu.pl

*Tekst oddano do druku 19 marca 2023 roku.

nie zdjęcia to ekstremalnie krótko, natomiast dwie minuty w BeReal wydawałyby się dość optymalne. Platforma zapewnia też dwie dodatkowe próby, jeśli zrobione zdjęcie nam się nie spodoba. Dodatkowo, w ciągu całego dnia możemy dodać „spóźnione” BeReal, w razie, gdyby nie udało nam się tego zrobić w ciągu tych dwóch minut od zobaczenia powiadomienia w aplikacji. Dlatego można debatować nad tym, czy rzeczywiście są to zdjęcia bez udawania i bez przygotowania. BeReal rzeczywiście nie umożliwia gromadzenia obserwatorów, ale na pewno nie jest aż tak anty-społecznościową aplikacją, jak mogłoby się wydawać. W zakładce „Discovery” wyświetlają się bowiem zdjęcia przypadkowych osób, które wyraziły zgodę na publiczne udostępnienie ich wszystkim użytkownikom BeReal. Co prawda liczby reakcji pod zdjęciami publicznymi nie widać, ale, tak jak w przypadku innych mediów społecznościowych, możemy zatem przeglądać na BeReal zdjęcia osób, których nawet nie znamy.

Okrojone social media

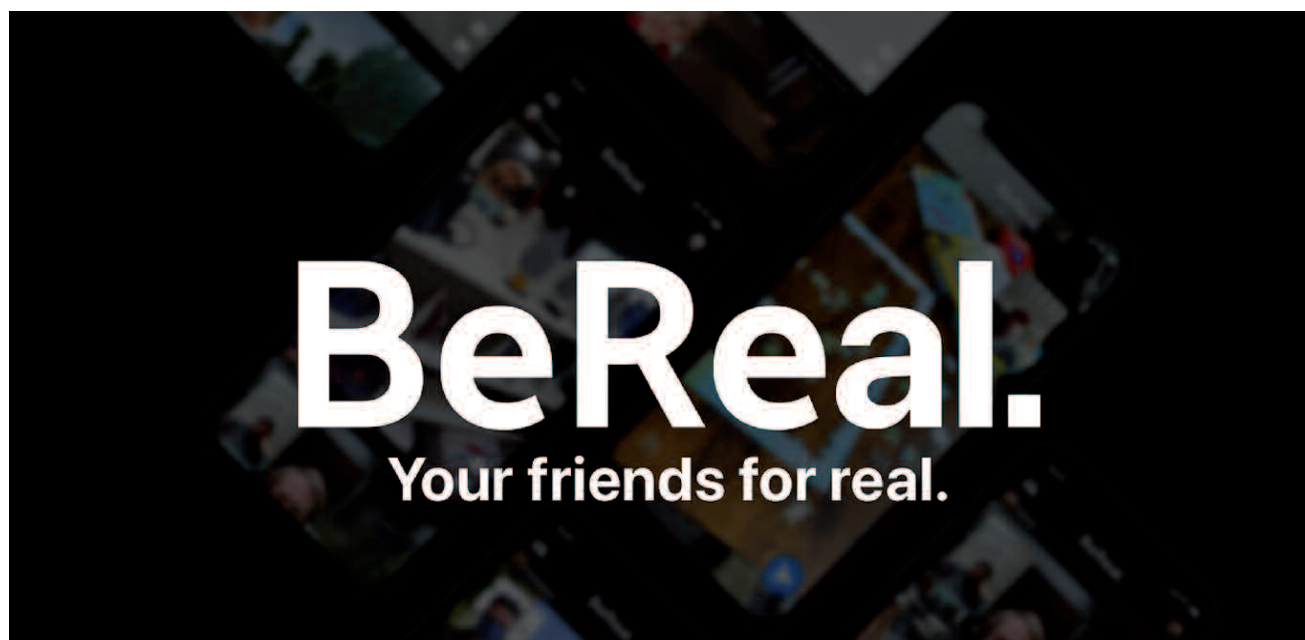
Powstanie BeReal można umieścić w szerszym kontekście. Zmęczenie tradycyjnymi mediami społecznościowymi daje nam się we znaki, więc poszukujemy wersji „okrojonych”. Nie chcemy pozbywać się ich kompletnie, ponieważ stały się one dla nas niezbędną formą rozrywki, oderwania od codziennego życia. Pojawia się również kwestia tego, co jest autentyczne i prawdziwe. Trafiałam kiedyś na takie zdanie na temat BeReal, według którego autentyczność wszystkich będzie oznaczała, że tak naprawdę nikt autentyczny nie jest – więc tu już wchodzimy na pole bardziej filozoficzne. Osobiście myślę, że BeReal to ciekawa wariacja na temat social mediów i urozmaicenie, a twórcy idealnie wykorzystali niszę na rynku aplikacji. Zapewnia rozrywkę, codzienny kontakt ze znajomymi i wchodzenie z nimi w interakcje na zasadzie prywatnego czatu grupowego. Natomiast niewykluczone, że w miarę użytko-

wania wykształci się poczucie „obowiązku” wstawiania codziennych zdjęć. Sama treść powiadomienia z BeReal, wzbogacona o emoji oznaczające ostrzeżenie, służy wywołaniu pewnej presji na użytkownikach – wstaw zdjęcie, nim będzie za późno.

Czy w takim razie BeReal pozostanie z nami na dłużej? Anty-społecznościowa czy nie – to nadal aplikacja, której podstawą są ludzkie interakcje i utrzymywanie wzajemnego kontaktu. Jasne jest również to, że BeReal nie zastąpi aplikacji społecznościowych,

które już istnieją, ponieważ z założenia nie zapewnia tyłu możliwości kontaktu co, np. Facebook czy Instagram. Jest zatem dodatkiem do istniejącej już kolekcji takich aplikacji. Pytanie brzmi, czy na dłuższą metę będziemy chcieli tej jednej dodatkowej ikony na naszym ekranie – i tak już bogato zapelnionym innymi aplikacjami.

Daria BAJOREK
darbaj@st.amu.edu.pl



Logo aplikacji BeReal

Powróciło ściganie w królowej motorsportu

KLASYFIKACJA GENERALNA KIEROWCÓW

MSC	KIEROWCA	ZESPÓŁ	PKT
1	Max Verstappen	Red Bull	44
2	Sergio Perez	Red Bull	43
3	Fernando Alonso	Aston Martin	27
4	George Russell	Mercedes	21
5	Carlos Sainz	Ferrari	20
6	Lewis Hamilton	Mercedes	20
7	Lance Stroll	Aston Martin	8
8	Charles Leclerc	Ferrari	6
9	Valtteri Bottas	Alfa Romeo	4
10	Esteban Ocon	Alpine	4
11	Pierre Gasly	Alpine	4
12	Kevin Magnussen	Haas	1
13	Alexander Albon	Williams	1
14	Yuki Tsunoda	Alpha Tauri	0
15	Nico Hulkenberg	Haas	0
16	Logan Sargeant	Williams	0
17	Guanyu Zhou	Alfa Romeo	0
18	Nyck De Vries	Alpha Tauri	0
19	Oscar Piastri	McLaren	0
20	Lando Norris	McLaren	0



Zespół Red Bull Racing zdominował dwie pierwsze rundy nowego sezonu

Przedsezonowe testy rozbudziły apetyty spragnionych emocji kibiców, a dwa pierwsze wyścigi pokazały, że tegoroczne zmagania w Formule 1 będą bardzo wyrównane. Królowa motorsportu powróciła po prawie czteromiesięcznej przerwie, a Max Verstappen i Sergio Perez już zdążyli pokazać rywalom, że walka o tytuł mistrza świata rozstrzygnie się między nimi.

Fani na pewno przecierali oczy ze zdumienia, widząc dwukrotnego mistrza świata Fernando Alonso, osiągnącego na testach czasy przejazdów na poziomie kierowców Red Bulla. Dodatkowo Hiszpan pokonał najwięcej okrążeń spośród całej stawki w trakcie przedsezonowej próby. Ułatwił mu to fakt, iż jego zespołowy kolega Lance Stroll uległ wypadkowi podczas jazdy na rowerze i nie mógł pojawić się w Bahrajnie, a zastępujący go Felipe Drugovich miał do dyspozycji mniej sesji w bolidzie od 41-latk. Testy pokazały, że poziom zespołów jest wyrównany i będzie można liczyć na większy ścisk w kwalifikacjach i wyścigach.

Przetasowania w stawce

Przed sezonem 2023 doszło do kilku zmian w obsadach ekip. Czterokrotny mistrz świata Sebastian Vettel zakończył karierę, a jego miejsce w Astonie Martinie zajął Alonso. Wakat po Hiszpanie w zespole Alpine wypełnił Francuz Pierre Gasly, a za niego do Alpha Tauri, które od niedawna wspierane jest przez PKN Orlen, przyszedł 28-letni Holender Nyck de Vries. Do ścigania w F1 jako „pełnoetatowy” kierowca powrócił Nico Hulkenberg, który zasilil szeregi Haasa, a do McLarena dołączył, rozechwytywany przez ekipy środka stawki, Australijczyk Oscar Piastri. Nową twarzą w padoku jest też Amerykanin Logan Sargeant, nabytek zespołu Williamsa.

Tegoroczna stawka składa się z trzech mistrzów świata – Hamilton, Alonso i Verstappen, aż dziesięciu kierowców może pochwalić się zwycięstwem w pojedynczym wyścigu, a czternastu zajmowało miejsce na podium. De Vries, Piastri i Sargeant stanowią grono debutantów.

Byki w innej lidze, kłopoty w Maranello

Zeszłoroczna dominacja zespołu Red Bull Racing ma kontynuację w tym sezonie. Duet Verstappen – Perez najpierw zajął dwa pierwsze miejsca w kwalifikacjach do GP Bahrajnu, a póź-

niej dowieźli do mety dublet. Podobnie było w Arabii Saudyjskiej, lecz tym razem Holender musiał walczyć o pozycje po awarii w Q2. Ostatecznie dojechał do mety za swoim zespołowym kolegą i utrzymał prowadzenie w klasyfikacji generalnej, co jest skutkiem wykręcenia przez niego najlepszego czasu okrążenia podczas wyścigu na torze Jeddah. Kierowcy Red Bulla mają ogromną przewagę nad resztą stawki i wydaje się, że walka o tytuł mistrza świata rozstrzygnie się w ich bratobójczej walce.

Mogło wydawać się, że drugą siłą w stawce będzie Ferrari. Charles Leclerc zaciekle walczył w Bahrajnie, ale wyścig zakończył na poboczu po awarii silnika. W drugim wyścigu sezonu miał utrudnione zadanie, otrzymał karę przesunięcia o dziesięć pól na starcie. Monakijczyk odrabiał straty, ale stracił kilka pozycji na neutralizacji wyścigu, gdy większość rywali zjechała na wymianę opon, a Charles był już po wcześniejszym pit stopie. Jego kompan Carlos Sainz jeździ do tej pory bezbarwnie, na inaugurację był czwarty, po tym jak został objechany przez Alonso, a dwa tygodnie później dojechał szósty. Problemem bolidu SF-23 jest zwiększona degradacja opon, przez co utrudniona jest strategia wyścigowa. W zespole pojawiają się też pierwsze tarcia, o których informowali już Leclerc oraz szef zespołu Frederic Vasseur.

Zacięta walka o podia

Duże postępy poczynił Aston Martin, który z zespołu ze środka stawki, stał się kandydatem do regularnego stawania na podium. To udało mu się udowodnić już podczas pierwszego wyścigu. Alonso wykorzystał dramat Leclerca oraz wyprzedził swojego rodaka Carlosa Sainza, co pozwoliło mu zająć trzecie miejsce. Świetną pracę wykonał również Lance Stroll, który pomimo kontuzji i jazdy ze śrubami w nadgarstkach, był szósty na torze Sakhir. W Arabii Saudyjskiej Hiszpan walczył nawet o zwycięstwo, przez kilka okrążeń był nawet liderem wyścigu. Dwukrotny mistrz świata nie utrzymał jednak tempa Pereza, a dodatkowo otrzymał karę za niewłaściwe usytuowanie na polu startowym. Później został jeszcze wyprzedzony przez Verstappena, ale drugie podium z rzędu nadal jest wielkim sukcesem dla zespołu Aston Martin.

W walkę o czołowe lokaty może również wchodzić dominator ery hybrydowej – Mercedes. Zespół kierowany przez Toto Wolffa miał problemy w zeszłym roku, jednak mimo tego jego kierowcy zajęli czwarte i szóste miejsce w klasyfikacji końcowej. Początek nowego sezonu jest dla nich optymistyczny, w pierw-

szym wyścigu zainkasowali szesnaście punktów. Swojego niezadowolona z nowego bolidu nie ukrywał siedmiokrotny czempion Lewis Hamilton, który przewiduje gorszy sezon od poprzedniego. Jednak na torze Jeddah ponownie udało się dobrze zapunktować, brytyjscy kierowcy dojechali na czwartym i piątym miejscu. Ekipa Mercedesu szybko wprowadziła poprawki, które mogą pozwolić na równą walkę z Ferrari i Astonem Martinem w każdym wyścigu.

Młyn w środku stawki

W poprzednich latach mieliśmy do czynienia z czerwonymi latarniami, czyli zespołami, które mocno odstawały od reszty. Taką rolę pełnił Williams, Haas, a wcześniej też Sauber, który obecnie startuje pod szyldem Alfa Romeo. Po przedsezonowych testach i inauguracyjnej rundzie w Bahrajnie można śmiało stwierdzić, że walka w środkowych i dolnych rejonach stawki będzie emocjonująca, a wyniki będą zmieniać się na każdym torze.

Na ten moment największe obawy budzi bolid McLarena. Oba wyścigi zakończyły się dla zespołu tragicznie. Wyścigu w Bahrajnie nie ukończył Piastri, a Norris dojechał na ostatniej pozycji. W drugiej rundzie było podobnie, Australijczyk był piętnasty, a Brytyjczyk siedemnasty. Na drugim biegunie jest Alpine. Francuzi wyrastają na najlepszą ekipę środka stawki, a Esteban Ocon i Pierre Gasly, to kierowcy, którzy powinni co wyścig dorzucać cenne „oczka” do dorobku zespołu.

Reszta stawki, czyli zespoły Alfa Romeo, Alpha Tauri, Haas i Williams są na podobnym poziomie. W ich przypadku dojeżdżanie w pierwszej dziesiątce będzie zależało w głównej mierze od warunków na torze i sytuacji wśród najlepszych ekip. Pojedyncze punkty zdobyli już Valtteri Bottas, Alexander Albon i Kevin Magnussen, a pozostali nadal czekają na pierwsze zdobycze.

Sezon rozpoczął się od dominacji Red Bulla, który może nie mieć sobie równych. Jednak walka w pozostałych częściach stawki zapowiada się arcyciekawie. Na początku ścigania w Europie, czyli na Grand Prix Azerbejdżanu lub Emilii-Romanii zostaną wprowadzone wielkie poprawki w większości bolidów. Szefowie ekip zapowiadają, że wtedy dokonają wielu istotnych usprawnień, które mogą zmienić układ sił w stawce. Przed nami jeszcze 21 wyścigów, które z pewnością dostarczą wielu emocji.